

Jacek Karnowski, Michał Karnowski: Pamiętają jeszcze Pana ludzie?

Wojciech Reszczyński: No właśnie, tyle lat nie jestem już na wizji, a odbieram wciąż wiele wyrazów sympatii. Jakoś zapadłem ludziom w pamięć.

Bo był Pan, gdy działa się historia. Współtworzył Pan Teleexpress, a potem "Wiadomości", które zastąpiły znieawidzony Dziennik Telewizyjny. Pamiętaj Pan słowa, jakie wtedy powiedział?

Oczywiście. W każdą rocznicę je przypominają: "W naszym nowym programie wiadomości będą dobre lub złe, oby tych ostatnich było jak najmniej, ale zawsze prawdziwe". Niestety byłem naiwny. Nie sądziłem, że dziś, po tylu latach, o pewnych wydarzeniach w ogóle nie będzie się mówiło. Jak za komuny – tego, czego nie ma w mediach, tego nie było.

Ale szybko Pan zniknął z "Wiadomości" i w ogóle z TVP. Dlaczego?

Po prezydenckim zwycięstwie Lecha Wałęsy w 1990 roku, którego czynnie wspierałem, zobaczyłem, jak gwałtownie odbudowuje on "lewą nogę", czyli wspiera ludzi dawnego systemu, z którymi tak ofiarnie przecież walczył, dla demokracji i wolności. Wreszcie dowiedziałem się, iż moim bezpośrednim przełożonym w telewizji ma zostać partyjny propagandzista, a najpewniej ubek ze stanu wojennego. Tego było już dla mnie za wiele. Po prostu wyszedłem z telewizji.

Tak po prostu?

Tak po prostu. Dostałem zawiadomienie z działu kadr, iż porzuciłem pracę.

Można Pana dzisiaj usłyszeć na antenie radiowej?

W radiowej Trójce raz w miesiącu mam nocną audycję pod tytułem „Trójka na poważnie”. Wcześniej zwolniono mnie z Informacyjnej Agencji Radiowej, ale sąd pracy przywrócił mnie do firmy. Zgodziłem się na propozycję pracy w "trójce", ale zmniejszono mi jej wymiar i oczywiście pensję. Ostatnio z inspiracji pani Magdaleny Jethon zajęła się mną radiowa komisja etyki, która ostatecznie uznała, iż mój udział w wiecu podczas marszu "Obudź się, Polsko" był naruszeniem (aż!) zasad etyki dziennikarskiej.

To nie żart? Przecież to nie był żaden partyjny wiec, tam były dziesiątki środowisk!

Dla mnie była to manifestacja religijno-patriotyczna. Swoje wystąpienie rozpocząłem od słów "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja zawsze Dziewica", potem cytowałem księdza Piotra Skargę. Czy tak się ludzie zachowują się na partyjnych wiecach? Ale mimo obszernych wyjaśnień, jakie złożyłem, orzeczono, że "przekroczyłem granice", m.in. naruszyłem punkt dziennikarskiego kodeksu obyczajowego mówiący o poszanowaniu poglądów osób niewierzących.

Czy ukarano także tych dziennikarzy, jak Michała Olszańskiego z radiowej Trójki, który 11 listopada 2011 roku brał udział w blokadzie legalnego Marszu Niepodległości ze środowiskami skrajnej lewicy?

Nie słyszałem. Ale bym się zdziwił, gdyby spotkała go jakaś kara. Żyjemy w kraju, w którym jednym wolno wszystko, inni zaś, ci gorsi, nie mogą się publicznie modlić i powiedzieć kilku słów prawdy o Polsce, by nie być szykanowanym w pracy.

Wiele osób pyta, czy jest sens pracować w tych mediach?

Trzeba się trzymać pracy, zawodu, szczególnie, gdy wiąże się on z obywatelską misją. Pracowałem przecież w mediach za PRL-u, zawłaszczonych przez komunistów, i chyba zachowałem twarz. Uważałem, że trzeba trwać, być, uczyć się, i mimo wszystko służyć Polsce.

W jaki sposób znalazł się Pan w ogóle w dziennikarstwie?

Zaczynałem od studenckiego studia radiowego Bielany Radio w Toruniu i dzięki tej aktywności w ogóle skończyłem studia prawnicze. Radio interesowało mnie bardziej niż studiowanie. Potem trafiłem do "Sygnałów Dnia". Po stanie wojennym nie wpuszczono mnie do radia. Przeszedłem jakoś, dzięki pomocy mojego kierownika, który się za mną wstawił, weryfikację. Potem znalazłem się w radiowej "trójce", gdzie zajmowałem się tematami pobocznymi, choć ciekawymi. Budownictwem, nauką, reportażem, prowadziłem też konferansjerkę bloków programowych.

Polityki nie robił Pan?

Nie, nie chciałem. Od tego byli "lepsi", którzy wiedzieli, jak zmontować materiał, by wyszło dobrze, by władza była zadowolona.

Warto czasem w bieżących dyskusjach poszukać punktu oparcia, odniesienia. Jednym z nich może być jeden z 21 sierpniowych postulatów strajkowych z 1981 roku. W pięknym albumie "Oburzeni" zawierającym zdjęcia Adama Bujaka i kilkanaście artykułów stwierdza Pan, że żądanie "wolności słowa, druku, publikacji" do dziś nie zostało spełnione. Dlaczego?

Wojciech Reszczyński: Bo choć każdy może dziś pisać i mówić, co chce, to nie wszystkie środowiska mają takie samo prawo uczestniczenia w debacie publicznej. Poza tym wolność publicznego wyrażania poglądów nie jest równoznaczna z wolnością słowa. Każdy może mówić, co chce, ale tylko ten, kto mówi prawdę, wyraża, realizuje wolność słowa. Prawda to dobro, fałsz to zło. I to kryterium dzieli świat mediów. Są lepsi i gorsi, wychwalani bez umiaru i wyszydzani bez zawstyżenia. W mediach, zwłaszcza elektronicznych, panuje niemal niepodzielnie światopogląd lewicowo-liberalny, a ustawowy zapis o respektowaniu wartości chrześcijańskich jest powszechnie ignorowany. W efekcie pełne wsparcie, sympatię i pieniądze publiczne płyną na promocję wulgarnego satanisty w TVP, medale

państwowe dostają dziennikarze, tzw. słupy reklamowe (to ci, co pracują w mediach publicznych, a zarazem regularnie występują w reklamach, np. zagranicznych banków, biorąc za to ogromne pieniądze), a gromadzące setki tysięcy ludzi marsze katolików są albo ignorowane, albo pokazywane w zmanipulowany sposób. Dziś, jak w PRL-u dziennikarz wielkich mediów znowu służy władzy, a nigdy społeczeństwu.

Nie generalizuje Pan przesadnie?

Nie, bo nieliczne wyjątki, a czytelnicy "Uważam Rze" doskonale je rozpoznają, tylko to potwierdzają. Zresztą, takich dziennikarzy jest w mediach coraz mniej, bo w wielu redakcjach trwają ciche lub bardzo głośne, pokazowe czystki. Z badań przeprowadzonych w 2007 roku wynikało, że 90% dziennikarzy popiera Platformę i tak jest do dziś. Każdy może też sam ocenić, czy media pokazują rzeczywistość, czy propagandową fikcję. Czy informują o protestach i dramatach zakładów pracy, szpitali, całych środowisk? Z goryczą stwierdzam, że za komuny manipulowano i mówiono o strajkach jako o "przebojach w pracy", a dziś nikt nawet nie wspomni, że gdzieś tam właśnie setki osób wyrzucane są na bruk. Podobnie nie istnieje jako wydarzenie audycja dziesięciu tysięcy członków Rodziny Radia Maryja u Ojca Świętego. Nic, nawet słowem nie wspomnieli.

O których programach Pan mówi?

TVP, TVN, Polsat i inne mniejsze stacje. Tak jak każdy dziennikarz czytam i oglądam prawie wszystko. Chociaż ostatnio zmęczony już tą narastającą propagandą, najwięcej czasu poświęcam telewizji Trwam. To ta stacja, oraz oczywiście Radio Maryja, przejęły dziś rolę mediów publicznych. Spokojnie, bez szukania sensacji, bez krzykliwości przedstawia się tam realny obraz życia Polaków. Mówi o gospodarce, bezrobociu, rolnictwie, zagrożeniu GMO, szaleńczemu zadłużaniu państwa i przyszłych pokoleń, o likwidacji szkół, posterunków policji, stacji kolejowych, a także o prawdziwych celach lewicowych projektów obyczajowych czy narastającym zagrożeniu demokracji w Polsce. No i oczywiście mówi się prawdę o tragedii smoleńskiej. A tej sprawy nie wolno zakłamać. Musi być uczciwie wyjaśniona.

No dobrze, ale dlaczego media publiczne tej roli w Pana ocenie nie pełnią? Gdy zapytać o misję, wykażą się setkami godzin takich programów.

Są oczywiście chlubne wyjątki. Dziś jednak media te zostały podporządkowane obecnej władzy, która zgodnie ułożyła się z tą dawną i buduje III RP. Dominują, szczególnie w telewizji, rodzinne klany wywodzące się jeszcze z komunizmu. Są to dzieci esbeków, wnukowie sekretarzy PZPR, członkowie rodzin peerelowskich dziennikarzy. Dla tych ludzi nie jest problemem całkowite pominięcie informacji o ponad 100-tysięcznym kwietniowym marszu w obronie telewizji Trwam. Czysta, komunistyczna propaganda dostosowana do nowych czasów.

A media prywatne?

Te same problemy plus jeszcze jeden: zagraniczny właściciel.

Kapitał podobno nie ma narodowości?

Ma, ale o tym się oficjalnie nie mówi. Widziałem to z bliska, w jednym z etapów walki o Radio WAWa. Miałem wtedy tak irlandzkiego, jak i niemieckiego udziałowca. To jest kapitał narodowy, często wspomagany państwowymi tanimi kredytami do osiągnięcia prywatnych zysków w kraju kolonialnym. Zwłaszcza Niemcy, niezależnie od różnic, zawsze i wszędzie działają w interesie swojego kraju. A po drugie, to kapitał absolutnie nie zainteresowany budową medialnego pluralizmu w Polsce, tym bardziej gdy uzyskał już mocną pozycję na rynku. Każdy z takich inwestorów, rozglądając się po III RP, błyskawicznie dochodzi do wniosku, że jeśli chce robić pieniądze, to musi dogadać się z miejscowym establishmentem, dobrać sobie zespół ludzi, który jest dobrze widziany przez władze. Musi chwalić to samo co "Gazeta Wyborcza" i musi zatrudnić gwiazdy, które będą szydziły z ojca Tadeusza Rydzyka. Oni wiedzą lepiej niż my, że ci, którzy sprawowali władzę w PRL, trzymają ją nadal, choć w nieco inny sposób.

Ale w krajach rodzimych to działa inaczej! Dlaczego tam właściciele mediów rozumieją, na czym polega pluralizm, a tu wzmacniają układ postkomunistyczno-liberalny, a w efekcie patologie życia publicznego?

To jest podejście neokolonialne. Standardy, zasady, zdrowa demokracja, krytyka publiczna są dla nich bardzo ważne, bo chcą mieć sprawne, przyjazne dla siebie państwo. By nie było skorumpowane, by pilnowało ich interesów w kraju i za granicą. Dlatego media pełnią tam rolę strażnika podstawowych wartości wspólnotowych. W Polsce wystarczy stabilność i uległość. Słyszeliście, jak to było ze stacją RTL 7 w Polsce?

Tak, ale niech Pan opowie.

To światowa renomowana firma, która chciała mieć w Polsce swoją telewizję. Zatrudniła najlepszych fachowców, ale niestety o poglądach konserwatywnych. No i pojechał do centrali Adam Michnik i powiedział im wprost, że popierają nie tych, co trzeba. Koncern wycofał się z Polski. To samo miałem w radiu WAWa. Niemiecki udziałowiec domagał się zdjęcia z anteny bardzo popularnych programów, które miały polski, narodowy, konserwatywny charakter i tych, które mogły być źle odbierane przez władzę. Słyszałem, że jestem "polskim tradycjonalistą", w domyśle "nacjonalistą" i że z moimi poglądami to się tu w Polsce nie robi biznesu, tym bardziej że władza takich jak ja nie lubi. I dziwiono się, że tego nie rozumiem.

A nie rozumiał Pan?

Do pewnego momentu nie rozumiałem, gdyż prywatne radio robiłem z myślą o odbiorcach, a nie o władzy. Sądziłem, że jak zrobię dobre, słuchane, popularne radio, to zmuszę także agencje reklamowe do reklamowania się i zyskam szansę na rozwój. Nie przewidziałem, że agencje reklamowe reprezentujące swoich klientów będą prowadziły własną politykę reklamową wspierania lewicowych, postkomunistycznych mediów.

Jaka jest tego przyczyna?

Agencje reklamowe i domy mediowe tworzyli w latach 90., w olbrzymiej większości, potomkowie tych, którzy wyjechali z Polski w roku 1968. Po upadku PRL mieli zdobytą za Zachodzie wiedzę, wykształcenie, a także pieniądze na start, i swoje rodzinne sympatie i fobie. Do dziś decydują, do kogo popłyną pieniądze, a do kogo nie. Dlatego wspierają media im bliskie, pozostałe blokując.

Ale kłopot z mediami mamy oczywiście nie tylko my. Podobnie jest w innych krajach postkomunistycznych, w Czechach, na Słowacji, na Węgrzech. W tych wszystkich krajach medialny kapitał zachodni, zwłaszcza niemiecki, służy utrwaleniu słabości tych państw, a nie ich wzmocnieniu. W efekcie dominuje stara szkoła dziennikarstwa, z tą różnicą, że dawniej jej przedstawiciele kłamali, bo im kazano, bo uważali, że takie są czasy. Dzisiaj kłamią, bo chcą, bo to się im opłaca.

Bo tyle kanałów, czyli jest pluralizm?

Tak, ale mało kto zauważa, że we wszystkich tych kanałach dominuje identyczna treść, nawet te same sformułowania. Jakby istniała jakaś nowa "Mysia" czy nowy wydział propagandy dawnego komitetu centralnego. Stąd problem, by dowiedzieć się, co się naprawdę w kraju dzieje. Weźmy choćby "Fakty" i "Wiadomości" - od razu, od pierwszego zdania, dostajemy ocenę wydarzeń, a nie obiektywną informację o tym, co zaszło. Jedynie serwisy TV Trwam, Radia Maryja, czy niezależne portale pozwalają ustalić podstawowe fakty.

Media zawsze miały i zawsze będą miały jakieś nachylenie. Ono wynika choćby ze świata wartości, do którego się odwołujemy.

Tu zgoda, o to nie mam pretensji. Ale dwa ważne zastrzeżenia. Po pierwsze najpierw należy podawać fakty, czyli - co, gdzie, kiedy, a potem można je komentować i to z różnych stron, a nie jednej. To byłoby fair. A skoro nie, to w takim razie powinny istnieć zróżnicowane media o różnym nachyleniu. Na naszym rynku telewizyjnym i radiowym nie ma o tym mowy, wszystkie duże stacje - poza mediami ojca Tadeusza Rydzyka - są z tego samego pnia, tym samym panom służą. To jest właśnie wynik wieloletniej pracy Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, z małymi wyjątkami zawsze zdominowanej przez lewicę i liberałów. Ostatnio pojawiła się szansa, by to zmienić; proces cyfryzacji nadawania stwarzał nadzieję na pojawienie się w naszych telewizorach nowych nadawców. Wybrano jednak powielenie tego, co jest dzisiaj.

Może dlatego, że to stacje popularne?

Tak jak popularny był szampon pokrzywowy w PRL, bo innego nie było. Gdyby ludzie mogli wybierać, mieli alternatywę, możliwość przełączenia na inne kanały, ten obraz rynku medialnego byłby inny.

Dlaczego w Pana ocenie pomimo tak potężnego wsparcia społecznego telewizja TRWAM nie otrzymała miejsca na multipleksie? Przecież pozostałe podmioty dostały, szczególnie te, by użyć sformułowania

Andrzeja Wajdy, "zaprzyjaźnione" z Platformą. Więc dlaczego ta jedna, inna, tak przeszkadza?

Powód jest taki, że ta władza oraz ci, którzy rządzą mediami, nie chcą doprowadzić do konfrontacji przekazu. Gdyby TV Trwam była dostępna na darmowym multipleksie, tak samo jak kanał nadający disco polo, który koncesję dostał, to ludzie nie oglądaliby „badziewia”, tylko katolicką telewizję. Wybraliby świat realny, prawdziwy i porównaliby go z tym, co jest na innych kanałach. W efekcie stacja ojców redemptorystów stałaby się błyskawicznie jedną z największych i najpopularniejszych stacji telewizyjnych w Polsce, i niewykluczone, że otrzymałaby wsparcie reklamowe od klientów, którzy zmusiliby do tego agencje reklamowe, a więc mogłaby dalej inwestować i się rozwijać. Poza tym, trudniej byłoby tak prymitywnie manipulować polską opinią publiczną.

W jaki sposób?

Media nie są żadną czwartą władzą; to władza pierwsza i bardzo bogata. Decyduje o tym, jak myślą ludzie, kogo i co lubią i wybierają, a kogo mają się na przykład bać. Poza tym media, jak chcą, to potrafią kontrolować władzę, ale nikt nie kontroluje mediów, nawet Krajowa Rada. Dlatego czują się tak wszechwładne, a politycy peregrynują od stacji do stacji, byleby tylko w nich zaistnieć. Dziś media angażują się w partyjną agitację i szczucie na opozycję dokładnie tak samo jak w PRL, bo stamtąd czerpią wzory, a krytycy takich poczynań mediów muszą uważać, by nie narazić się na procesy sądowe i kosztowne wyroki.

Przecież większość tych twarzy to młodzi ludzie!

Młodość nie jest żadnym atutem w starciu z manipulacją, przeciwnie, łatwiej wciągnąć młodego człowieka w te tryby, bo jest pewnych rzeczy nieświadomy. A potem się go oplata wysoką pensją, kredytem, stanowiskiem i już sam robi wszystko, by nie wypaść z systemu. Doskonale się domyśla, czego od niego żądają zwierzchnicy.

Są oczywiście wyjątki, dusze niepokorne, ale takich ludzi z zasadami zawsze było mniej. Przykładem Tomasz Sekielski, reporter polityczny w moim byłym radiu. Gdy dostał ofertę z TVN, nie wahał się, choć ostrzegałem go, co to za stacja, że prędzej czy później będzie firmował zwykłą propagandę. Odpowiedział, że chce jeździć takim samochodem jak ja, a u mnie nie ma perspektyw.

A miał?

Na pewno nie na takie pieniądze.

Sekielski miał różne momenty, w czasie afery Rywina potrafił pokazać kawał prawdy.

Bo taka była wtedy linia stacji. Gdy się zmieniła, zorganizował z panem Morozowskim słynne "taśmy Begerowej". Gdy to zobaczyłem, zadzwoniłem do niego i powiedziałem, że wstydzę się, iż wyszedł z mojego radia, bo zrobił haniebną rzecz,

umawiając się z posłanką Beger, by skompromitować pisowca. To nie była dziennikarska robota, raczej esbecka.

Coś odpowiedział?

Że się ze mną nie zgadza. I pewnie do dzisiaj nie rozumie, że gdyby to zrobił bez umawiania się z Beger, to mógłby mówić o uczciwej robocie dziennikarskiej. Ale on dogadał się z jedną stroną politycznego sporu i wspólnie zorganizowali prowokację, by uderzyć w drugą. Tak robią służby specjalne, dziennikarze w takie rzeczy się nie bawią. I jak wiecie Panowie, dostał za tę robotę nagrodę dziennikarską.

Wraca często w naszej rozmowie porównanie do PRL. Jak mocno Pan definiuje to podobieństwo?

Coraz częściej jest to dokładnie to samo. Dzienniki telewizyjne z czasów PRL, które przypomina nam kanał historyczny, zawierają identyczne kalki szczucia na opozycję, niszczenia ludzi niepokornych, oskarżeń o chęć podpalenia kraju. Z drugiej strony ta Polska w budowie to jest dosłowne powtórzenie gierkowskiej propagandy, słowo w słowo.

Mają nie pokazywać otwartych autostrad?

Otwarte, skończone tak, ale nie produkcyjniaki, które sugerują, iż wszystko zawdzięczamy panu premierowi. Dla człowieka, który znał PRL i trochę świata, jest to upokarzające. Autostrady buduje się wszędzie na świecie, a gdy są na to środki unijne, to żaden sukces. Problemem jest ich nadmierny koszt, korupcja przy zamówieniach publicznych, oszukiwanie drobnych wykonawców przez tych, którzy dostali kontrakty, budowanie po kawałeczku, tak iż w efekcie nigdzie nie można dojechać płynnie. O tym media powinny mówić, bo taka jest prawda. W wolnym demokratycznym kraju media nie powinny służyć władzy, ale patrzeć jej na ręce w imieniu obywateli, odbiorców swoich programów, bo zgodnie z podstawową zasadą etyki dziennikarskiej interes odbiorcy jest najważniejszy.

Ktoś może odpowiedzieć, że w czasie, gdy rządziło Prawo i Sprawiedliwość media konserwatywne nie były w czołówce ataku na tę ekipę.

Ale patrzyły jej na ręce, czasem nawet przesadnie. Za czasów PiS wielkie media nie zapomniały, że realną kontrolę nad pieniędzmi i instytucjami państwa nadal sprawują ludzie establishmentu III RP, dlatego rzuciły się z taką wściekłością na śp. Prezydenta, na ekipę PiS i projekt IV RP, czyli modernizacji i równych szans dla wszystkich. Jakiż kontrast z obecnym cmokaniem nad Tuskiem. Rządy Jarosława Kaczyńskiego to nie było tylko rządzenie, ale nieustanne odpieranie potężnego tsunami propagandowego mediów. Premier Kaczyński nie miał chwili spokoju. A potem, choć oskarżany, iż zmierza do dyktatury, oddał dobrowolnie władzę. Podkreślmy, zrobił to zgodnie z zasadami demokracji.

Ta ekipa władzy nie odda?

Są coraz większe obawy, że tak. Że ten, realizowany przez nich, jak mówią, "projekt", zmierza do budowy systemu, w którym nie ma możliwości wymiany ekipy rządzącej, bo ta jest najlepsza, a alternatywą jest antysystemowa, zła, opozycja. Nie chcą autentycznej demokracji, pluralizmu, konkurencji i wolnych mediów. Obrażają się na porównania do Białorusi, ale przecież zmierzają dokładnie w tym kierunku. Dziś policja, jak kiedyś ZOMO, strzela w bezbronny tłum. Gdyby chcieli naprawdę, aby w Polsce było miejsce dla wszystkich Polaków, to by nie kneblowali ludzi inaczej myślących, nie dzielili na lepszych i gorszych. W konsekwencji coraz mniej jest dziennikarstwa w mediach, coraz mniej Polski w Polsce. Rozmywają nas, spychają na margines. Walka o przetrwanie, jak nigdy przedtem, rozgrywa się na naszych oczach właśnie w mediach. Zanim zapytamy "jakie media", trzeba postawić pytanie znacznie ważniejsze - "czyje media". Chciałbym, by były one prawdziwie polskie.